Nasza mała niepunktualność

Plan na wszystko nie przewidział ich spotkania



Laura Bellini

Nasza mała niepunktualność

Plan na wszystko nie przewidział ich spotkania

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384905401

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4

Rozdział 1 - Warunki nieprzewidziane w harmonogramie 9

Rozdział 2 - Godzina, której nie było w planie.....19

Rozdział 3 - Kiedy plan przestaje wystarczać..... 30

Rozdział 4 - Poza godzinami otwarcia 40

Rozdział 5 - Prawo do własnego czasu..... 54

Rozdział 6 - Nie wszystko trzeba mierzyć 63

Rozdział 7 - Wszystko po staremu, prawie 76

Rozdział 8 - Miejsce, w którym nie jestem szefową 89

Rozdział 9 - Ryzyko, którego nie da się rozpisać.....103

Rozdział 10 - Bez planu na jutro 121

Rozdział 11 - Rzeczy, których nie wpisuje się do kalendarza 138

Rozdział 12 - Obietnica, która była za duża.....150

Rozdział 13 - Cena większej szansy.....164

Rozdział 14 - To, czego nie mówimy od razu.....179

Rozdział 15 - Wszystko, na co się nie umawialiśmy.....193

Rozdział 16 - Odległość między nami.....204

Rozdział 17 - Każde z nas osobno.....215

Rozdział 18 - Pierwszy krok bez gwarancji 225

Rozdział 19 - Nie wszystko da się naprawić od razu..... 239

Rozdział 20 - Nasza mała niepunktualność..... 252

INTRO

O siódmej czterdzieści trzy miałam już za sobą dwie kawy, jedną rozmowę z kierowcą, który pomylił bramę wjazdową, i trzy zapewnienia, że wszystko idzie zgodnie z planem. Ostatnie złożyłam przez telefon sponsorowi festiwalu, stojąc pośrodku gdańskiego dziedzińca, gdzie wiatr od Motławy przewracał kartki z harmonogramem. Nie szukałam ich. Wiedziałam, co powinno wydarzyć się o każdej godzinie, w którym miejscu miała stanąć lada z ceramiką i kiedy technicy mieli włączyć oświetlenie wystawy. Mój plan był przejrzysty, rozpisany co do pięciu minut i — jak na razie — całkowicie odporny na rzeczywistość.

— Oczywiście, że zdążymy — powiedziałam do telefonu. — Goście wejdą punktualnie, a wystawa będzie gotowa przed otwarciem.

Rozłączyłam się, zanim rozmówca zdążył zapytać, czy widziałam już transport z pracami. Nie widziałam. Miał dotrzeć przed siódmą, ale kierowca nie odbierał, a osoba odpowiedzialna za rozładunek twierdziła, że na liście przewozowej brakuje jednej skrzyni. W normalnych warunkach byłby to problem do rozwiązania. Tego ranka każdy problem miał jednak własny zegarek i wszystkie spieszyły się bardziej niż ja.

Przez chwilę patrzyłam na ekran telefonu, jakby mogła pojawić się na nim wiadomość zmieniająca sytuację. Nie pojawiła się. Schowałam urządzenie do kieszeni i ruszyłam w stronę hali, w której miała zostać otwarta wystawa rzemiosła. Potrzebowałam zobaczyć przestrzeń, zanim zacznę przesuwać ludzi i przedmioty. Zmiana kolejności w

harmonogramie była prosta tylko na papierze. W rzeczywistości oznaczała dziesięć kolejnych telefonów, czyjąś urażoną dumę i pytanie, dlaczego znów obiecałam coś, czego nie mogłam zagwarantować.

Nie lubiłam tego pytania. Nie dlatego, że nie znałam odpowiedzi, ale dlatego, że znałam ją aż za dobrze. Kiedy mówiłam „dam radę", ludzie przestawali szukać innych rozwiązań. Brali moje słowa za zobowiązanie, a ja wolałam dźwigać za dużo, niż przyznać, że czegoś nie dopilnowałam. Przez lata zbudowałam na tym reputację osoby, która potrafi uratować wydarzenie w ostatniej chwili. Nie wspominałam, ile razy ostatnia chwila zaczynała się z mojego własnego niedoszacowania.

W hali panował jeszcze półmrok. Na podłodze leżały pasy taśmy wyznaczające ciągi komunikacyjne, a pod ścianą stały skrzynie z oznaczeniami kilku pracowni. Jedna z nich była otwarta. W środku, na warstwie szarej pianki, spoczywała drewniana rama zegara — piękna, choć niekompletna. Brakowało tarczy. Przykucnęłam, żeby sprawdzić etykietę, ale zanim zdążyłam odczytać nazwę pracowni, usłyszałam za sobą spokojny głos.

— Jeśli będzie pani tak patrzeć, wskazówki same się nie pojawią.

Odwróciłam się. Mężczyzna stał przy stole ustawionym pod oknem. Miał podwinięte rękawy ciemnej koszuli, a na blacie rozłożone drobne narzędzia, których nazw nie znałam. Nie wyglądał na kogoś, kto przyjechał tylko zostawić eksponat. Pracował z uwagą, która w tym miejscu wydawała się niemal demonstracyjna. Jakby wokół nie trwał festiwal, jakby nikt nie przesuwał stołów, nie sprawdzał kabli i nie próbował przekonać świata, że wszystko jest gotowe.

— A jeśli będę patrzeć wystarczająco długo, może ktoś wreszcie przyniesie brakującą część — odpowiedziałam.

Uniósł wzrok. Nie uśmiechnął się, ale w jego spojrzeniu pojawiło się coś, co mogło być rozbawieniem.

— Części nie pojawiają się od samego czekania.

— Ludzie też nie. A jednak wszyscy ich tutaj potrzebujemy.

Przez sekundę przyglądał mi się tak, jakby chciał sprawdzić, czy mówię poważnie. Potem odłożył pęsetę i wskazał skrzynię.

— To nie jest kompletna praca. Nie powinna stać na wystawie.

— Wiem. Sprawdzam oznaczenia.

— W takim razie proszę jej nie przesuwać.

Nie dotknęłam skrzyni, choć miałam ochotę przypomnieć mu, że to ja odpowiadałam za przestrzeń, transport i bezpieczeństwo całego wydarzenia. Zamiast tego wyprostowałam się i spojrzałam na jego stół. Na małej podkładce leżał mechanizm zegarka, rozebrany na części tak drobne, że z mojego miejsca wyglądały jak rozsypane okruszki metalu. Mężczyzna przesunął jedną z nich o ułamek centymetra. Jego dłonie były pewne, ale nie sztywne. Wykonywał ruchy bez pośpiechu, jakby dokładność nie wymagała od niego walki z czasem.

— Jest pan wystawcą? — zapytałam.

— Sambor Róg. Zegarmistrz. I odpowiadam za tę część ekspozycji.

Przedstawiłam się, podając nazwisko i funkcję. Przyjął informację krótkim skinieniem głowy, bez grzecznościowego zachwytu, który zwykle towarzyszył słowu „producentka”.

Było w tym coś odświeżającego. I irytującego. Nie umiałam zdecydować, które bardziej.

— W takim razie pewnie wie pan, że mamy napięty harmonogram — powiedziałam.

— Wiem, że zegar nie zacznie działać szybciej, jeśli wpiszemy mu to do harmonogramu.

Tym razem uśmiechnął się ledwie zauważalnie. Miał głos niższy, niż się spodziewałam, i mówił bez demonstracyjnej surowości. Nie próbował mnie zawstydzić. Po prostu nie zamierzał udawać, że moje terminy zmieniają właściwości rzeczy.

— A ja wiem, że wystawa nie otworzy się sama — odparłam. — Ktoś musi dopilnować, żeby ludzie i przedmioty znaleźli się we właściwym miejscu.

— Zgadzam się. Tylko nie zawsze w tej kolejności.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zadzwonił mój telefon. Kierowca. Wreszcie. Odeszłam kilka kroków, słuchając wyjaśnień o korku, objazdach i skrzyni, która podobno została na magazynie. Zapytałam o numer przesyłki, godzinę przyjazdu i nazwisko osoby, która potwierdziła załadunek. Odpowiedzi nie układały się w nic, co mogłabym wpisać do planu. Kiedy zakończyłam rozmowę, Sambor nadal stał przy stole. Nie podsłuchiwał, ale nie musiał. Moja mina najwyraźniej wystarczyła.

— Nie dotrze na czas? — zapytał.

— Jeszcze tego nie wiem.

— To znaczy, że nie dotrze na czas.

— To znaczy, że nie mam potwierdzenia.

— Rozumiem różnicę. Nie jestem pewien, czy rozumie ją pani sponsor.

Nie spodobało mi się, że trafił w sedno. Jeszcze mniej spodobało mi się, że powiedział to bez satysfakcji. Nie było w nim triumfu człowieka, który czekał na cudzą pomyłkę. Raczej cierpliwość kogoś, kto widział już, jak pośpiech potrafi uszkodzić coś, czego nie da się łatwo naprawić.

— Zajmę się tym — powiedziałam.

— Nie wątpię.

To krótkie zdanie zabrzmiało bardziej jak obserwacja niż pochwała. Miałam ochotę zapytać, co właściwie o mnie sądzi po trzech minutach rozmowy, ale nie zrobiłam tego. Nie potrzebowałam kolejnej rzeczy, którą musiałabym wyjaśniać, ani kolejnego człowieka, któremu miałabym udowadniać, że potrafię utrzymać wszystko w ryzach.

Wyszłam z hali z telefonem w dłoni i planem, który właśnie przestał być wiarygodny. Na dziedzińcu ktoś rozstawiał drewniane stojaki, a z ulicy dobiegał dźwięk tramwaju. Gdańsk budził się bez względu na to, czy moja wystawa była gotowa. Wpisałam do harmonogramu nową godzinę, po czym skasowałam ją, bo nie miałam pewności, że tym razem nie składam obietnicy na wyrost.

Zwykle potrafiłam znaleźć rozwiązanie, zanim ktokolwiek zauważył problem. Tym razem ktoś już go zauważył — człowiek, który najwyraźniej nie zamierzał pomagać mi w udawaniu, że czas można przekonać do współpracy. I choć nie znałam jeszcze Sambora Roga, wiedziałam, że nie będzie łatwo włączyć go do mojego planu.

Pytanie brzmiało, czy potrafiłabym dopuścić go do czegoś, czego nie umiałam zaplanować.

Rozdział 1 - Warunki nieprzewidziane w harmonogramie

Kiedy wróciłam do hali, rozmowa z kierowcą zdążyła zamienić się w trzy kolejne telefony, dwie wiadomości od koordynatorki technicznej i jedno pytanie od sponsora, na które nie zamierzałam odpowiadać, dopóki nie będę miała czegoś więcej niż przypuszczenia. Miałam wrażenie, że cały festiwal postanowił sprawdzić, ile razy można poprosić tę samą osobę o rozwiązanie problemu, zanim zacznie ona mówić wyłącznie w punktach. Nie miałam jednak czasu na filozoficzne rozważania. Do otwarcia pozostawało kilka godzin, a wystawa, która miała być głównym wydarzeniem pierwszego dnia, istniała na razie przede wszystkim w moich dokumentach.

Sambor nadal pracował przy stole. Zmienił tylko narzędzie. Teraz pochylał się nad niewielkim mechanizmem, którego części układał na jasnej podkładce w starannie wyznaczonych odstępach. Kiedy weszłam, nie podniósł głowy, ale miałam pewność, że mnie zauważył. Niektórzy ludzie potrafili okazywać uwagę bez przerywania tego, co robili. Było to irytujące, zwłaszcza kiedy człowiek chciał, żeby natychmiast zajęli się jego problemem.

— Potrzebuję wiedzieć, czego dokładnie brakuje w tej części ekspozycji — powiedziałam.

Odłożył narzędzie i wyprostował się.

— W tej chwili? Tarczy, dwóch elementów mocujących i zabezpieczenia do transportu. Sama rama jest kompletna, ale nie można jej jeszcze złożyć.

— Czyli potrzebujemy trzech rzeczy.

— Nie. Potrzebujemy czterech, jeśli uwzględnić czas, który zajmie bezpieczne złożenie.

— Czas nie jest przedmiotem, który można zamówić i odebrać w magazynie.

— Właśnie dlatego nie należy udawać, że można go dowolnie przesuwać.

Spojrzałam na niego z irytacją, której nawet nie próbowałam ukrywać. Miałam przed sobą człowieka, który potrafił z rozbrajającym spokojem wyjaśnić, dlaczego nie da się zrobić czegoś, co musiało zostać zrobione. Nie chodziło nawet o to, że nie miał racji. Chodziło o to, że racja nie była w tej chwili szczególnie użytecznym narzędziem.

— Posłuchaj, Sambor. Nie zamierzam prosić cię o cud. Chcę wiedzieć, co możemy zrobić z tym, co mamy.

— To jest pierwsze rozsądne pytanie, jakie dzisiaj usłyszałem.

— W takim razie dzień nie był dla pana szczególnie udany.

Tym razem uśmiechnął się wyraźniej. Krótko, jakby nie chciał przyznać, że rozbawiła go moja odpowiedź.

— Zależy, jak liczyć. Zdążyłem naprawić dwa mechanizmy i nie zepsuć trzeciego.

— Gratuluję. Ja zdążyłam przekonać sponsora, że wszystko jest pod kontrolą.

— I jest?

Nie odpowiedziałam od razu. Zamiast tego rozłożyłam na stole wydruk planu hali, który nosiłam w teczce. Zaznaczyłam palcem centralną część ekspozycji. Wystawa zegarmistrzowska miała zajmować przestrzeń przy oknach, z dala od głównego ciągu komunikacyjnego. Zaplanowałam

tam cztery stanowiska, stół demonstracyjny i niewielką strefę, w której goście mogli zobaczyć działające mechanizmy z bliska. Wokół miały znaleźć się prace pozostałych rzemieślników: ceramika, intarsje, ręcznie oprawiane notesy i przedmioty z mosiądzu. Całość miała opowiadać o rzeczach tworzonych z cierpliwością, której coraz mniej było w codziennym życiu.

— Transport przyjedzie, ale później — powiedziałam. — Nie znam jeszcze dokładnej godziny. Możemy zacząć od elementów, które już mamy, a brakujące części dołożyć, kiedy dotrą.

Sambor przyjrzał się planowi.

— Nie wszystkie stanowiska można przygotować osobno.

— Dlaczego?

— Bo ta ekspozycja nie jest zbiorem przypadkowych przedmiotów. Każdy z nich pokazuje inny etap pracy. Jeśli postawimy samą ramę bez mechanizmu, odwiedzający zobaczą ładny kawałek drewna i nie zrozumieją, dlaczego jest tutaj ważny.

— Możemy umieścić informację.

— Możemy również napisać, że wystawa jest kompletna, i liczyć, że nikt nie zauważy różnicy. Nie uważam tego za dobry pomysł.

Przyjrzałam mu się uważniej. Nie podnosił głosu, nie próbował przejąć rozmowy ani popisywać się wiedzą. Mówił tak, jakby odpowiadał za każdy przedmiot, który trafił do tej hali. I prawdopodobnie rzeczywiście tak było. Znałam wystawców, którzy przyjeżdżali na wydarzenie, rozstawiali swoje prace i oczekiwali, że organizator zajmie się resztą. Sambor wyglądał na człowieka, który nie potrafiłby zostawić

nawet drobnej części bez sprawdzenia, czy została właściwie zabezpieczona.

— Dobrze — powiedziałam. — Co proponujesz?

Przesunął plan w swoją stronę.

— Zamiast czterech stanowisk robimy trzy. Stół demonstracyjny zostaje, ale nie ustawiamy przy nim eksponatów, które wymagają brakujących elementów. Przygotujemy osobną prezentację mechanizmu, który już mam. Kiedy przyjedzie transport, zdecydujemy, co można bezpiecznie dołączyć.

— To oznacza zmianę układu całej wystawy.

— Tak.

— Przesunięcie dwóch innych stanowisk.

— Prawdopodobnie.

— Dodatkową pracę dla technicznych.

— Jeśli potrzebujemy ich pomocy, trzeba ich o to poprosić.

— Zadziwiająco proste podejście.

— Nie twierdziłem, że będzie łatwo.

Wzięłam głęboki oddech. Miał rację, ale jego propozycja oznaczała, że będę musiała przyznać przed zespołem, iż pierwotny plan przestał obowiązywać. Nie lubiłam takich momentów. Zmiana harmonogramu była dla mnie zawodową porażką, nawet jeśli w praktyce ratowała wydarzenie. Zbyt często utożsamiałam skuteczność z dotrzymywaniem obietnic, zamiast z umiejętnością podejmowania dobrych decyzji w nowych warunkach.

— Jest jeszcze jedna kwestia — powiedziałam. — Sponsor oczekuje, że o jedenastej pokażemy całą wystawę

przedstawicielom mediów. Nie mogę po prostu powiedzieć, że część stanowisk będzie pusta.

— Możesz powiedzieć, że prezentacja odbędzie się w zmienionej formule.

— Nie znasz mojego sponsora.

— A ty nie znasz jeszcze wszystkich moich zegarów.

Spojrzałam na niego. Tym razem nie wiedziałam, czy to była próba żartu, czy zwykła deklaracja faktu. Miał w sobie coś niepokojąco spokojnego. Nie był nieprzyjemny, ale nie zamierzał ułatwiać mi zadania przez potakiwanie. Z drugiej strony, kiedy patrzył na plan, robił to z taką uwagą, jakby naprawdę chciał znaleźć rozwiązanie, a nie tylko udowodnić, że jego stanowisko jest słuszne.

— Dobrze. Zmieniona formuła — zgodziłam się. — Ale potrzebuję twojej pomocy przy rozmowie z pozostałymi wystawcami. Jeśli poproszę ich o przesunięcie stanowisk, będą chcieli wiedzieć dlaczego.

— Powiem im, co się stało.

— Bez podkreślania, że to moja wina?

— Jeśli zapytają, dlaczego transport nie dotarł, wyjaśnię, że transport nie dotarł.

— A jeśli zapytają, kto odpowiada za organizację?

— Wtedy powiem prawdę.

Nie spodobała mi się ta odpowiedź, choć nie potrafiłam znaleźć w niej niczego niewłaściwego. Byłam przyzwyczajona do ludzi, którzy w podobnych sytuacjach natychmiast szukali winnego. Sambor nie szukał. Po prostu nie chciał brać udziału w tworzeniu wersji wydarzeń wygodniejszej niż rzeczywistość.

Wyszliśmy na korytarz, gdzie spotkaliśmy Olę, koordynatorkę techniczną. Miała na ramieniu taśmę mierniczą, a w dłoni tablet. Zatrzymała się, kiedy zobaczyła nas razem.

— Marlena, powiedz, że nie będziemy przesuwać wszystkich stołów jeszcze raz.

— Nie będziemy przesuwać wszystkich stołów — odpowiedziałam.

— To dobrze.

— Tylko dwa.

Ola zamknęła oczy.

— Wiedziałam, że nie powinnam pytać.

Wyjaśniłam jej sytuację i przedstawiłam propozycję Sambora. Wysłuchała nas, zadała kilka pytań o zasilanie i odległość między stanowiskami, po czym zaczęła sprawdzać dostępność ludzi. Kiedy skończyła, wskazała na zegarmistrza.

— Jeśli mam przesunąć te stoły, potrzebuję od ciebie wymiarów ekspozytorów. Nie będę robiła tego na oko.

— Przygotuję je.

— Dzisiaj?

— Za dwadzieścia minut.

Ola spojrzała na mnie z uznaniem.

— Widzisz? Tak się z tobą pracuje. Konkret.

Nie byłam pewna, czy to miało być pochwałą dla niego, czy przytykiem do mnie, ale nie zamierzałam się nad tym zastanawiać. Wzięłam tablet, sprawdziłam dostępność techników i rozdzieliłam zadania. Sambor poszedł

przygotować pomiary, a ja zaczęłam dzwonić do wystawców.

Pierwsza rozmowa była trudna. Druga jeszcze trudniejsza. Trzecia zakończyła się obietnicą, że ktoś przemyśli zmianę i da mi znać. Przy czwartej usłyszałam, że skoro organizatorzy nie potrafią dopilnować transportu, może nie powinni organizować festiwali. Nie odpowiedziałam. Zapisałam nazwisko, podziękowałam za informację i zakończyłam połączenie.

Kiedy schowałam telefon, Sambor stał obok z kartką pełną wymiarów.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

— Zależy, czy uznamy za w porządku sytuację, w której ludzie przypominają mi, że jestem odpowiedzialna za rzeczy, na które nie mam wpływu.

— Masz wpływ na to, co zrobisz teraz.

— To zdanie brzmi jak coś, co powinno znaleźć się na kubku motywacyjnym.

— Nie kupiłbym takiego kubka.

— Ja też nie.

Przez moment staliśmy obok siebie, patrząc na halę. Pracownicy przesuwali skrzynie, ktoś rozwijał przedłużacz, a z drugiego końca budynku dobiegł odgłos upadającego metalowego stojaka. Sambor odwrócił głowę w tamtą stronę, ale nie ruszył się od razu. Najpierw upewnił się, że osoba odpowiedzialna za stanowisko podniosła stojak i nie zrobiła sobie krzywdy. Dopiero potem wrócił wzrokiem do mnie.

— Nie musisz wszystkiego robić sama — powiedział.

Nie brzmiało to jak pocieszenie. Raczej jak stwierdzenie, które wypowiedział po zaobserwowaniu czegoś konkretnego.

— Wiem.

— Nie wygląda.

— A pan zawsze mówi ludziom, co powinni robić?

— Tylko wtedy, kiedy widzę, że próbują wykonać pracę za trzy osoby.

— Może po prostu nie lubię czekać, aż ktoś inny się zorientuje, że coś trzeba zrobić.

— To nie to samo, co nieumiejętność delegowania.

Zacisnęłam palce na tablecie. Nie chciałam prowadzić z nim rozmowy o swoich metodach pracy. Nie znał mnie, nie znał mojego zespołu ani wszystkich zobowiązań, które doprowadziły mnie do tego miejsca. Mimo to jego uwaga trafiła w punkt, którego wolałabym nie dotykać.

— Proszę przygotować te wymiary — powiedziałam. — Ja zajmę się resztą.

— Właśnie o tym mówię.

Odwrócił się i odszedł, zanim zdążyłam znaleźć odpowiedź. Patrzyłam za nim przez chwilę, po czym wróciłam do pracy. Nie zamierzałam pozwolić, żeby obcy mężczyzna z zegarmistrzowskim stołem i wyjątkowo rozwiniętym poczuciem odpowiedzialności oceniał moje zawodowe wybory.

Mimo to, kiedy dwadzieścia minut później otrzymałam od niego dokładny rysunek nowego układu stanowisk, zauważyłam, że uwzględnił nawet dodatkowe miejsce dla osoby obsługującej demonstrację. Nie musiał tego robić. Wystarczyło, że podał wymiary.

O jedenastej wystawa nie była jeszcze kompletna, ale jej nowy układ działał. Przedstawiciele mediów obejrzeli pierwszą część ekspozycji, a Sambor opowiedział o mechanizmie zegara, którego budowa zajęła mu kilka miesięcy. Słuchałam go z boku. Nie używał wielkich słów. Nie próbował zachwycać publiczności technicznymi szczegółami, których większość osób nie zrozumiałaby bez wyjaśnienia. Mówił o precyzji, o cierpliwości i o tym, że niektóre rzeczy trzeba rozebrać, żeby zrozumieć, dlaczego przestały działać.

Ludzie słuchali. Nawet sponsor, który wcześniej domagał się potwierdzenia kompletności wystawy, zadawał pytania zamiast składać skargi. Zorientowałam się, że patrzę na Sambora dłużej, niż wymagała tego zawodowa obserwacja.

Kiedy demonstracja się skończyła, podszedł do mnie z pustą filiżanką.

— Przeżyliśmy — powiedział.

— To dopiero początek dnia.

— Wiem. Nie powiedziałem, że wygraliśmy.

— Zawsze jest pan taki ostrożny w formułowaniu sukcesów?

— Wolę nie obiecywać rzeczy, których jeszcze nie zrobiłem.

Przyjęłam to zdanie z lekkim ukłuciem. Było w nim coś, czego nie chciałam analizować przy świadkach.

— W takim razie niech pan nie składa żadnych deklaracji — odpowiedziałam. — Mamy jeszcze kilka godzin pracy.

— Nie zamierzałem.

— Dobrze.

— Ale mogę powiedzieć, że całkiem sprawnie pani improwizuje, kiedy już przestaje pani próbować udawać, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Uniósł filiżankę, jakby wznosił toast, i odszedł w stronę swojego stanowiska. Zostałam z tym zdaniem, które było jednocześnie komplementem i nieprzyjemnie trafną obserwacją.

Po raz pierwszy tego dnia pomyślałam, że być może problemem nie jest wyłącznie brakujący transport.

Rozdział 2 - Godzina, której nie było w planie

Po południu festiwal zaczął przypominać wydarzenie, które obiecywałam wszystkim od kilku miesięcy. Na dziedzińcu pojawili się pierwsi goście, w hali rozbrzmiewały rozmowy, a zapach świeżo parzonej kawy mieszał się z wonią drewna i wosku używanego przez rzemieślników. Wystawa zegarmistrzowska nadal czekała na brakujące elementy, ale pozostałe stanowiska funkcjonowały już bez większych problemów. Mogłam wreszcie przejść przez przestrzeń bez konieczności odpowiadania na każde pytanie, zanim zdążyło zostać zadane.

Nie oznaczało to jednak, że miałam wolne. W moim telefonie nadal pojawiały się wiadomości, a na liście zadań pozostało tyle pozycji, że mogłabym z nich ułożyć osobny program festiwalu. Postanowiłam jednak znaleźć dziesięć minut na sprawdzenie stanu transportu. Kierowca poinformował mnie, że skrzynia została odnaleziona i powinna dotrzeć do Gdańska późnym popołudniem. Nie podał konkretnej godziny, ale tym razem przynajmniej miałam numer przesyłki i potwierdzenie z magazynu.

Zadzwoniłam do Sambora, choć nie byłam pewna, czy odbierze. Odebrał po trzecim sygnale.

— Słucham.

— Mam aktualizację w sprawie transportu. Skrzynia została odnaleziona. Powinna dotrzeć dzisiaj.

— Dobrze.

Czekałam na dalszą reakcję. Nie było jej.

— To wszystko? — zapytałam.

— A czego jeszcze oczekujesz?

— Może odrobiny entuzjazmu.

— Nie znam godziny dostawy.

— Właśnie dlatego mówię, że powinna dotrzeć.

— A ja właśnie dlatego nie świętuję.

Przewróciłam oczami, choć nie mógł tego zobaczyć.

— Potrzebuję, żebyś po południu sprawdził, co da się jeszcze zamontować.

— O której?

— Jak tylko przyjedzie transport.

— To nie jest godzina.

— Sambor, naprawdę nie mam teraz czasu na ustalanie minut.

— W takim razie nie ustalajmy minut. Ustalmy warunek. Zadzwonisz, kiedy będziesz miała potwierdzenie, że skrzynia jest na miejscu. Wtedy przyjadę i sprawdzę zawartość.

— Nie możesz zostać na terenie festiwalu?

— Mam własny warsztat i zamówienia, których nie mogę przesuwać bez końca.

To przypomniało mi, że nie był jednym z moich pracowników. Był wystawcą, współorganizatorem swojej części ekspozycji i człowiekiem, który miał życie poza moim harmonogramem. Przez ostatnie godziny zdążyłam o tym zapomnieć.

— Dobrze — powiedziałam. — Zadzwonię.

— Dziękuję.

Rozłączył się bez dodatkowych słów. Schowałam telefon i ruszyłam w stronę wyjścia. Miałam jeszcze spotkanie z przedstawicielką lokalnych mediów, a potem rozmowę ze sponsorem. W trakcie obu wydarzeń starałam się zachowywać tak, jakby dzień przebiegał dokładnie według planu. Nie kłamałam wprost, ale też nie opowiadałam o wszystkim, co wymagało jeszcze rozwiązania. Znałam granicę między informowaniem a niepotrzebnym wzbudzaniem niepokoju. Problem polegał na tym, że czasami przesuwałam ją trochę za daleko.

Około szesnastej dostałam wiadomość od kierowcy. Transport był już w Gdańsku, ale samochód utknął przy rozładunku innego zamówienia. Nie potrafił określić, czy zajmie mu to piętnaście minut, czy godzinę. Odpisałam, że czekam na kontakt, po czym zadzwoniłam do Sambora.

Nie odebrał. Spróbowałam ponownie po kilku minutach. Tym razem usłyszałam jego głos, w tle rozległ się cichy dźwięk metalowych narzędzi.

— Jestem w warsztacie.

— Skrzynia jest już w Gdańsku.

— Na terenie festiwalu?

— Jeszcze nie. Kierowca kończy rozładunek.

— W takim razie nie mam czego sprawdzać.

— Chciałam cię tylko uprzedzić.

— Dobrze. Daj znać, kiedy będzie na miejscu.

— Możesz przyjechać wcześniej i poczekać.

— Nie.

Odpowiedział tak szybko, że przez chwilę nie wiedziałam, co powiedzieć.

— Nie?

— Mam umówioną pracę. Nie będę siedział na parkingu, czekając na samochód, którego nikt nie potrafi zlokalizować.

— Nie proszę cię o siedzenie na parkingu. Chodzi o to, żebyśmy mogli zareagować od razu.

— Zareaguję, kiedy będzie wiadomo, na co.

Poczułam znajome napięcie. Wystarczyło jedno krótkie „nie", żebym przypomniała sobie wszystkie osoby, które w ostatnich godzinach nie potrafiły podjąć decyzji, dopóki ktoś nie podał im dokładnego polecenia.

— Nie zawsze wszystko da się zaplanować — powiedziałam.

— Zgadzam się. Dlatego dobrze jest wiedzieć, co można zrobić, kiedy plan przestaje działać.

Nie odpowiedziałam. Przez moment słyszałam tylko cichy odgłos przesuwanych narzędzi.

— Będę czekał na telefon — dodał. — Powodzenia z resztą festiwalu.

Rozłączył się, zanim zdążyłam zapytać, czy to była jego wersja życzeń powodzenia, czy sposób na zakończenie rozmowy.

O siedemnastej trzydzieści skrzynia wreszcie dotarła. Kierowca przywiózł ją osobiście pod wejście techniczne, a ja sprawdziłam oznaczenia i podpisałam odbiór. Była cięższa, niż się spodziewałam, z metalowymi okuciami i dodatkowymi zabezpieczeniami na rogach. W środku znajdowała się tarcza, elementy mocujące i specjalna podpora do transportu. Nie było jednak dokumentu potwierdzającego stan zawartości, więc nie chciałam otwierać jej bez Sambora.

Zadzwoniłam do niego.

— Jest na miejscu.

— Przyjeżdżam.

— Ile ci to zajmie?

— Czterdzieści minut.

— Możesz szybciej?

— Mogę, ale nie będę jechał szybciej tylko dlatego, że ty masz napięty harmonogram.

Zamknęłam oczy. W normalnych okolicznościach odpowiedziałabym coś nieprzyjemnego. Tym razem jednak powstrzymałam się. Potrzebowałam jego wiedzy, a nie kolejnej sprzeczki.

— Czterdzieści minut — powtórzyłam. — Będę czekać przy wejściu technicznym.

— Dobrze.

Kiedy się rozłączyliśmy, zostałam sama ze skrzynią i poczuciem, że nie mam już nic do zrobienia. To było dziwne doświadczenie. Przez większość dnia biegałam między stanowiskami, rozwiązywałam problemy i odpowiadałam na pytania. Teraz mogłam jedynie czekać. Usiadłam na niskim murku przy wejściu i obserwowałam ludzi przechodzących przez dziedziniec.

Po dwudziestu minutach zadzwoniła do mnie Ola.

— Wszystko w porządku z transportem?

— Jest.

— A Sambor?

— Jedzie.

— Dobrze. Widziałam, jak rano pracował. Ma niezłe oko.

— Ma też niezwykle rozwiniętą zdolność odmawiania.

Ola roześmiała się.

— Może po prostu nie jest twoim pracownikiem.

— Wiem.

— Nie wyglądałaś na osobę, która o tym pamięta.

Spojrzałam na telefon, jakby to on był odpowiedzialny za tę uwagę.

— Wszyscy dzisiaj mają coś do powiedzenia na mój temat?

— Tylko ci, którzy cię lubią.

Rozłączyła się, zanim zdążyłam zapytać, czy to miała być pociecha.

Sambor przyjechał po trzydziestu ośmiu minutach. Nie spieszył się, ale też nie tracił czasu. Miał na sobie tę samą ciemną koszulę, choć rękawy były już bardziej podwinięte, a na jednym mankiecie zauważyłam niewielki ślad smaru. Niósł niewielką torbę narzędziową. Kiedy mnie zobaczył, skinął głową.

— Pokaż skrzynię.

— Dzień dobry również.

— Dzień dobry, Marlena.

Powiedział to z taką powagą, że nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu.

— Proszę bardzo. Oto twoja długo wyczekiwana przesyłka.

Obszedł skrzynię, sprawdził zamki i oznaczenia, a potem poprosił mnie o dokument odbioru. Przeczytał go uważnie, zanim zdecydował się otworzyć zabezpieczenia. Nie robił

niczego w pośpiechu. Widziałam, jak kontroluje każdy element, zanim przesunie go choćby o kilka centymetrów.

— Możesz mi powiedzieć, co sprawdzasz? — zapytałam.

— Czy skrzynia nie była otwierana po drodze i czy zabezpieczenia są nienaruszone.

— Wyglądają na całe.

— Wyglądać a być to dwie różne rzeczy.

— Masz odpowiedź na wszystko?

— Nie. Dlatego sprawdzam.

Otworzył skrzynię i wyjął pierwszą warstwę zabezpieczenia. Tarcza była owinięta miękkim materiałem i umieszczona w specjalnie dopasowanej ramie. Sambor przesunął palcami po krawędzi, obejrzał powierzchnię pod światło, a następnie sprawdził mocowania. Pracował w ciszy. Nie była to cisza niezręczna, raczej taka, w której każde z nas miało swoje zadanie. Ja podawałam mu kolejne elementy, a on oceniał ich stan.

— Wszystko wygląda dobrze — powiedział w końcu. — Ale potrzebuję stołu i dobrego oświetlenia.

— Przygotuję.

— I nikogo więcej przy stanowisku.

— To trudniejsze.

— Dlaczego?

— Bo to festiwal. Ludzie będą chcieli zobaczyć, co robimy.

— Nie podczas montażu.

Przyjrzałam mu się. Nie był nieuprzejmy, ale miał w sobie upór, którego nie dało się pomylić z brakiem pewności siebie. Nie próbował mnie przekonać, że jego zasady są

jedynymi słusznymi. Po prostu nie zamierzał ich porzucać tylko dlatego, że komuś zależało na szybszym efekcie.

— Dobrze. Dam ci pół godziny bez publiczności.

— Czterdzieści minut.

— Trzydzieści pięć.

— Zgoda.

Spojrzałam na niego z zaskoczeniem. Spodziewałam się kolejnej rundy negocjacji.

— Tak po prostu?

— Ustaliliśmy warunki.

— Nie lubisz targować się dla zasady?

— Lubię, kiedy ustalenia mają sens.

Zorganizowałam stół, lampę i dwóch techników, którzy pomogli przenieść skrzynię do właściwej części hali. Sambor od razu wskazał, gdzie ma stanąć, i poprosił o odsunięcie jednego z krzeseł. Kiedy wszystko było gotowe, podszedł do mnie.

— Możesz już wrócić do swoich obowiązków.

— To moje stanowisko.

— Wiem.

— I chcę zobaczyć, co robisz.

Przez chwilę patrzył na mnie bez słowa. Potem odsunął się, robiąc mi miejsce przy stole.

— W takim razie zostań. Tylko niczego nie dotykaj bez pytania.

— Mam trzydzieści trzy lata, Sambor. Potrafię zachować ręce przy sobie.

— Nie wątpię. Wolę jednak nie sprawdzać tego na zabytkowym mechanizmie.

Zaśmiałam się cicho. Nie spodziewałam się, że potrafi być zabawny. Wcześniej jego spokój brałam za rodzaj dystansu, teraz zaczynałam dostrzegać, że pod tą powściągliwością kryje się człowiek, który potrafi zauważyć więcej, niż pokazuje.

Przez następne pół godziny obserwowałam jego pracę. Tarcza była wykonana z jasnego metalu, z delikatnie wygrawerowanymi cyframi i cienkimi wskazówkami. Sambor opowiadał mi o jej konstrukcji, o tym, jak łatwo uszkodzić powierzchnię podczas montażu i dlaczego niektóre elementy muszą zostać dopasowane ręcznie. Nie mówił do mnie jak do kogoś, kto powinien znać wszystkie techniczne szczegóły. Wyjaśniał tyle, ile potrzebowałam, żeby rozumieć, co robi.

— Dlaczego wybrałeś zegarmistrzostwo? — zapytałam.

Nie odrywał wzroku od mechanizmu.

— Bo lubię wiedzieć, dlaczego coś działa.

— To brzmi jak odpowiedź, której udzieliłbyś również na pytanie o swoje życie.

— Być może.

— A jeśli nie da się znaleźć przyczyny?

Odłożył narzędzie i spojrzał na mnie.

— Wtedy trzeba zaakceptować, że nie wszystko można naprawić.

Nie wiedziałam, dlaczego to zdanie zabrzmiało bardziej osobiście niż wszystkie poprzednie. Nie dopytywałam. Miałam wrażenie, że nie byłby zachwycony, gdybym